TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 34. POZNAŃ dnia 22 Sierpnia. 1862.

„Tygodnik Poznański" wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1¼ tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 franków; w Redakcyi 1¼ tal., albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego redaktora.

PALESTYNA.

ALBUM Z PODRÓŻY NA WSCHÓD.

(Ciąg dalszy).

BETHLEHEM (Dom chleba).

Po kilkodniowym w Jerozolimie pobycie zapragnąłem obaczyć jéj dalsze okolice, ale nie mógłem znaleźć towarzystwa. Samemu bowiem, tylko z dragomanem i mukerem, były odleglejsze wyprawy niebezpieczne dla rozbójniczych Beduinów, którzy wówczas zagrażali napaścią na Jerozolimę, a wszyscy jéj mieszkańcy w niemałéj żyli trwodze. Żaden dragoman bez wojskowéj eskorty puścić się ze mną nie chciał, a ta była dla mnie za kosztowna. Pewnego poranku wchodzi do mego pokoiku olbrzymia postać męzka, ubrana w biały habit dominikański — otóż i towarzysz! Twarz jego poczciwa, otwarta, ożywiona jaśniejącemi prawdą oczyma, ujęła mnie od razu. Nie omyliłem się w ocenieniu jego prawego i miłego charakteru wypisanego wyraźnemi rysami na obliczu. Wybornym się okazał towarzyszem podróży, człowiekiem serdecznym i wykształconym, a jako zakonnik czcigodnym. — Chcesz podobno zwiedzić okolice Jerozolimy? zapytał — otóż miléj nam będzie i bezpieczniéj społem! — Najchętniéj przyjąłem tak pożądane oświadczenie, ułożyliśmy zaraz cały plan wycieczek, a przywoławszy dragomana Araba, poleconego nam przez Franciszkanów, kazaliśmy wystarać się o konie, najprzód do Bethlehemu, na dzień następny. Nowy mój towarzysz opowiadał tymczasem, że jest rodem z Irlandyi, kształcił się początkowo w swojéj ojczyźnie, potem w Anglii; nauki duchowne i święcenie odebrał w Rzymie, gdzie przez 7 lat zostawał; nakoniec, że od kilku lat mieszka w Konstantynopolu, w klasztorze San-Pietro, zkąd dopiero przed kilku przybył godzinami z chęcią zwiedzenia Palestyny. Mówił językami: angielskim, włoskim, nowogreckim i łacińskim, cokolwiek też po turecku i po arabsku, a zwał się Molloy. —

Wyszliśmy niebawem na miasto, a że to był piątek, wstąpiliśmy na owo miejsce na górze Moria, gdzie stoi kawałek odwiecznego muru zwanego Salomonowym, stanowiącego podziśdzień cząstkę ogrodzenia placu Haram. Pod tym murem opłakują żydzi co piątek, za drogo opłaconem pozwoleniem Turków, zburzenie Jerozolimy. Zastaliśmy tam mnóstwo żydostwa płci obojéj w świątecznych strojach i modlitewnych okryciach. — Wszyscy na kolanach, z czołem do ziemi schylonem, często o głazy muru lub ulicy głową uderzając, w głos się modlili i płakali chórem i zawodzili słowami Jeremiasza tak żałośnie, że aż dreszcz przejmował. Ponieważ na nas dwóch, jedynych świadków obcych wszyscy poczęli zwracać uwagę, oddaliliśmy się wkrótce, nie chcąc przeszkadzać im w tak smutnéj a gorącéj modlitwie. Odróżniali się w tym tłumie żydzi europejscy, mianowicie polscy, ubiorem i twarzami od żydów wschodnich w zawojach a zupełnie innych rysów twarzy. — Szczególniéj zaś zajęły mnie czapki żydów europejskich czwororogate, wysokie, aksamitne z barankami i piękne białe zawoje żydówek wschodnich, a przytem bogate wielu okrycia złotem i śrebrem haftowane, obok bardzo ubogich, wynędzniałe postacie okrywających. Słyszałem tu rozmawiających między sobą po polsku, z żydoska po niemiecku i niezrozumiałym mi językiem. Godna jest zaprawdę uszanowania pobożność żydów jerozolimskich, którzy w ogóle wielką cierpią nędzę i prześladowanie, a jednak tutaj, na gruzach swojéj stolicy, oczekują końca życia, aby tylko być pogrzebionymi w świętéj ziemi ojców. Z całego świata przyjeżdżają starce izraelscy złożyć tu swoje kości i jeszcze za życia opłacają muzułmanom każdą stopę ziemi na grób swój w dolinie Józefata.

Zwiedzając różne świątynie i miejsca historyczne, udzielaliśmy sobie nawzajem spostrzeżenia i myśli, a czas nam schodził prędko i przyjemnie. Gdyśmy wracali do naszéj gospody, spostrzegliśmy jednę uliczkę zapchaną ludźmi. Osobliwsza była tego przyczyna. — Padł koń jakiś słaby i zabił się; trzeba go było wywlec, bo drogę całą zawalił. Uwiązano mu tedy długie dwa powrozy u zadnich nóg i tak go ośmiu Arabów wlokło aż za bramę, przez pół miasta.

Na drugi dzień rano odprawił mój towarzysz mszą na Golgocie, przy ołtarzu należącym do katolików *), a pożegnawszy potem poczciwych Franciszkanów, puściliśmy się ku Bethlehemowi w cztery konie, strojno i zbrojno. Tylko biały mój towarzysz był bezbronny, ale jego ogromna postać odziana w śnieżnobiały habit kaszemirowy, nieprzepasany, z kapturem na głowę zarzuconym nakazywała uszanowanie. Ponieważ zaś takie

*) Są tylko dwa — drugi należy do Greków.

same prawie noszą burnusy emirowie Arabów, pozdrawiali nas wszyscy muzułmanie z czcią wielką, myśląc może, iż to jaki ich narodu dostojnik, albo też dla tego, że biały ubiór męzki jest na wschodzie oznaką bogactwa i znamienitości rodu, jako i konie arabskie najszlachetniejsze są śnieżnowłose.

Wyjechaliśmy bramą jafejską na małą, kamienistą równinę, gdzie niegdzie uprawną, oliwami ożywioną i płotami z czerwonego, biało marmuryzowanego wapienia porozgradzaną. Przy drodze żerowały stadka bardzo ładnych kuropatw palestyńskich; czasem lis się ukazał mały, prawie czarny, a za zbliżeniem naszem przepadł w stercie kamieni lub czmychnął w rozpadlinę skalną. Po półgodzinnéj jeździe ujrzeliśmy odwieczną cysternę, ostawioną żłobami kamiennemi, a dragoman prawił: tu trzej Magowie jadący do Jezusa z darami i pokłonem poili swoje wielbłądy i konie; tu im zabłysła gwiazda przewodniczka. — Na połowie drogi naszéj ukazał się na wzgórzu nowy klasztor grecki ś. Eliasza w skalistem otoczeniu, a naprzeciw niego malownicze skały połamane we wschody, wiodące do dużego ogrodu oliwnego. Niedaleko za nim, na ustroniu oglądaliśmy grobowiec Racheli, odnowiony staraniem Mojżesza Montefiore, w smaku wschodnim, i ruiny wodociągów Salomonowych, które jeszcze obaczymy za Bethlehemem. Minąwszy owe miejsca, zatrzymaliśmy konie na płaskim szczycie skały, z którego piękne widać panorama z siedmiu różnych złożone obrazów. — W jednym promieniu kształtna się wznosi góra ukoronowana ruiną wspaniałéj wieży, zwaną wieżą Jakubową; w drugim klasztor ś. Eliasza z malowniczem otoczeniem; w trzecim jakaś arabska wioska po skałach rozrzucona w dzikiéj i pustéj okolicy; w czwartym góry Arabii skalistéj, bez barwy i życia, niby mur olbrzymi, w dziwaczne wyżłobiony i połamany gzymsy i wieżyczki zawsze gęstą owiany zasłoną wyziewów Umarłego morza, kiedy wszystkie inne okolice w najczystszym jaśnieją blasku. Piąty obrazek przedstawia tajemnicą i niebieskawym oparem osłonione morze Martwe i kawałek pięknéj doliny Jordanu; szósty pełen życia, barw, i rozmaitości obejmuje wielką wieś B e t d ż a l a, kościół grecki z wspaniałem seminaryum i piękne ogrody; ostatni nareszcie ukazuje nam śliczne miasteczko Bethlehem wśród drzew i ogrodów, na skalistych dwóch pagórkach wdzięcznie ustawione, a w głębi wyniosłą, bardzo pięknego kształtu górę F a r d a s, czyli Franków, strażniczkę odwieczną ogrodów Salomona u jéj stóp się rozlegających.

Lubo tylko dwugodzinna jest droga z Jerozolimy do Bethlehemu, okolica przecież odmienna. Wszędzie widać pólka zbożowe, ogrody warzywne, dużo bujnych oliw, fig i drzewek winorodnych po wzgórzach, najczęściéj tarasami się wznoszących, to kolistemi, to prostemi jak wschody, to wreszcie do amfiteatralnych ław podobnemi. Inne wyglądają na piramidy lub stogi, niektóre zaś łudzą kształtem gotyckich gmachów. Wszystkie te formy dla skrętnéj drogi co chwilę się zmieniające cudnemi wyobraźnię zapełniają wzorkami. Rozrzuć po wszystkich stada czarnych kóz i owiec z ich pasterzami, jeźdźców w strojach azyatyckich, gdzie niegdzie rólnika orzącego w wielbłąda, rozstaw po skałach kilka wysmukłych beduinek niosących wielkie na głowach dzbany, pomaluj różnemi barwy i oświeć to wszystko najjaśniejszemi promieniami słońca, wreszcie otchnij życiem, a ujrzysz cudne acz dzikie obrazy onéj krainy, których ja, niestety, inaczéj przedstawić nie umiem! —

Bethlehem prześlicznie wygląda wśród ogrodów, w białym stroju architektonicznym czysto wschodniego smaku. Najwięcéj jednak ma powabu, dla oryginalnéj struktury i malowniczego stanowiska na wysokiéj skale, wielki klasztor z kościołem i kaplicami o kilku wieżach i kopułach. Łatwo odgadnąć, że to gmach najcelniejszy, sława Bethlehemu, świątynia owa nad kołyską Zbawiciela świata, białemi świecąca murami i godłem zbawienia. Mała ta mieścina, bodaj 3,400 mająca mieszkańców, nie byłaby ani tego niewybornego opisu godna, gdyby nie ów żłóbek czcią milionów ludzi opromieniony. Jako rodzinne miasto boskiego psalmisty Dawida, nie wzbudziłoby w nas tyle zajęcia, bo zbliżka tak jest nieładne, ciasne, ubogie i małe, że znika cały urok, jakim zdala łudzi, a pamiątek z czasów Dawidowych nie ma prawie żadnych.

W saméj bramie powitało nas kilka wychudłych psów żałośnem wyciem; jeden bowiem z ich towarzyszów leżał w niéj martwy. Po trzech dniach jeszcze go w tem samem miejscu widziałem, chociaż każdemu jeźdzcowi zawadzał i przykre wszystkim sprawiał wrażenie.

Przeprawiliśmy się przez gromady ludzi wprost ku klasztorowi Franciszkanów, nagabywani przez dzieci o bakczysz (podarek), przez żebraków o jałmużnę, a od przekupniów koczujących różnemi częstowani towarami. Stanąwszy przed furtą klasztorną, zostaliśmy uprzejmie powitani przez braciszka Włocha i gościnnie przyjęci. Zastawiono nam w jednéj chwili wina dobrego, chleba, kurę pieczoną, sér i owoce różne. Wkrótce, po oznajmieniu braciszkowi naszéj narodowości, przyszło dwóch księży, którzy mnie powitali po polsku, co mi wielką sprawiło radość. Jeden z nich był przed kilku dopiero tygodniami przybył na spowiednika do Bethlehemu, z Kalwaryi pod Krakowem; drugi zaś, misyonarz z Bulgaryi, zwiedzał Palestynę jako pielgrzym. Obadwaj poczciwi Krakowiacy. Cztery dni przepędziłem najuprzejmiéj w ich towarzystwie, a szanowny misyonarz bułgarski, ks. S t a n i s ł a w Z a m o j s k i, który jeszcze przed rokiem 1830 wyszedł był z kraju, prawie nieodstępnym był mi przez ten czas przewodnikiem, jako znający dobrze okolicę i wszelkie stósunki miejscowe. Zwiedziliśmy najpierw kościół. I tu takie samo wspólnictwo, jak w kościele Grobu Chrystusowego. Grecy, ormianie i katolicy łacińskiego obrządku są téj świątyni właścicielami, a klasztory tych trzech wyznań, górny kościół wspólny i jeszcze osobne kościołki stykają się z sobą, a po części stoją nad kościołem podziemnym, który jest najstarszy w Palestynie, a zowie się S a n t o P r e s e p i o (święty żłób), albo kościołem żłobu Chr. Wszystkie te gmachy kościelne, klasztory, mieszkania służby i pielgrzymów, oraz szkółki tworzą jakby jeden gmach wielki, mnóstwem krużganków i korytarzy połączony. Główna nawa górnego kościoła stoi pustkami. Jéj sklepienie spoczywa na 48 wielkich filarach dwoma podwójnemi rzędami stojących po bokach. Nad ich gzymsami są dosyć wysokie ściany prostopadłe, ozdobione mozajkami na tle złotem, zupełnie zniszczonemi. Brama główna zamurowana, tylko z boku małe są drzwiczki; dla tego, że dawniéj Arabowie i Turcy na osłach i koniach do kościoła wjeżdżali, chroniąc się przed deszczem lub upałem i w owym przedsionku czyli nawie dawno opu-

stoszałéj gościli i zgiełk wszczynali nieznośny. Podziś dzień schodzą się tutaj żebracy, a różny lud na rozmowy i palą sobie fajki.

W grocie Narodzenia Chr., wyłożonéj marmurem, są 3 ołtarze bogato ozdobione. Pod jednym z nich na filarach ustawionym, jest srebrne słońce promieniste i napis: Hic de virgine Maria Jesus Christus natus est. — Przepełno w téj grocie obrazów, świéc i lamp srebrnych. Krętym korytarzem, w skale wykutym, można ztąd dojść do groty ś. Hieronima, potem innemi krużgankami do groty ś. Euzebiusza z Kremony, do dwóch kaplic i do grobów: ś. Hieronima, ś. Pauli i jéj córki, których ciała dawno uwiezione do Rzymu. Cały ów kościół podziemny poważne wzbudza uczucia starożytnością swoją i prostotą, przypominające pierwsze wieki chrystyanizmu. Wszystkie bowiem ściany i sklepienia grot i kapliczek jego, oraz korytarzy, zostawiono tak surowo, jak były przed wieki. — Prócz bardzo prostych ółtarzy i starych obrazów poczerniałych, nie zobaczysz tu żadnych ozdób przy bladem, ponurem świetle lamp oliwą nalanych. Wszystko w twardéj skale wykute, tak, że ani sztuka budownicza nieodejmuje téj świątyni uroku prawdziwie chrześciańskiego ubóstwa i prostoty. Jedna tylko Grota żłobu, owa uświęcona stajenka, nie uszła błyszczących strojów i marmurowéj szaty.

W pobliżu klasztoru znajduje się mała jaskinia kredowa, zwana Grotą Mleka lub schronienia M. B. Tu bowiem ukrywać się miała Marya z maleńkim Jezusem przed zaciekłością Heroda. Wnętrze zupełnie naturalne, poczerniałe od starości, tylko, jak ręką sięgnąć można, ściany odrapane. Kobiety bowiem okoliczne, nawet muzułmanki i beduinki, przychodzą z téj groty brać kredę, jako pewny środek do pomnożenia pokarmu. Mające niemowlęta u piersi jedzą ją lub piją rozpuszczoną w jakim płynie. Drzwi ani okien nie ma, tylko prosty ółtarzyk, na którym zawsze pali się lampka.

W niewielkiem oddaleniu ztamtąd jest druga grota głęboko w ziemi, zwana Grotą Pastuszków, owych szczęśliwych, którym anioł oznajmił urodzenie Zbawiciela, a w pobliżu stoi na wzgórzu ich wioska Bet Sahur en Nazyra, niełatwo dostępna dla mnóstwa bardzo złych psów i niegościnności mieszkańców. — Obok wejścia do groty Pastuszków, ocienionéj oliwami, siedziało kilka dziewcząt pół nagich, z rozczochranemi włosami, błyszczących oczu czarnych, rozjaśniających bardzo śniade ich twarze, dosyć ładne. Na niewysokim nad niemi tarasie skalnym palił się dymny ogień z gałązek; stara kobieta, również rozczochrana, twarzy zwiędłéj, prawie czarnéj, chuda, workiem z koziéj sierci odziana — istna czarownica! warzyła coś w dużym kociełku, mięszając gałązką oliwną. Wszystkie do mnie wyciągnęły ręce ogorzałe, wołając: bakczysz! Chciały mojego towarzysza całować w rękę, ale niepozwolił, utrzymując na prawdę, że mogą oczarować, bo to cyganki. —

W innéj stronie pokazał mi dobry przewodnik mój gruzy domu ś. Józefa; cysterny Dawida niezmiernie głębokie ale suche; pole Booza, na którem Ruth i Noemi zbierały kłosy i inne pomniki lub miejsca historyczne, a wszystko wdrażało się łatwo i żywo w pamięć, wraz z objaśnieniami w języku moim ojczystym. Wtedy to uczułem całą słodycz i miłość drogiéj mowy mojéj dawno niesłyszanéj.

Więcéj jednak niż muzea pamiątek i obrazy świata naturalnego zajmowali mnie ludzie. Spotykaliśmy często Beduinów konno i zbrojno, a częściéj ich kobiety ubogie i brzydkie, oszpecone jeszcze tetuowaniem twarzy całéj w gwiazdki, rozety i kółka, niebieską farbą napuszczane. Płeć ich mocno śniada, słońcem jeszcze opalona, oczy czarne, włosy piękne, ale w nieładzie. Postacie wysmukłe, postawy śmiałe, chód lekki i żwawy, ruchy swobodne a zręczne. Odzieniem ich zwykłem modre, bawełniane worki z szerokiemi rękawami, przepasane rodzajem szala z bawełny, lub koziéj czy wielbłądziéj sierci, za pasem nóż. Kobiety mężate mają na głowie wysokie kołpaczki wypchane bawełną, ozdobione monetami ze śrebra i złota, a nakryte chustami kolorowemi, niezasłaniającemi wcale twarzy. Dziewczęta dosyć ładne nie noszą kołpaczków, tylko czapeczki chustą białą okryte. Wszystkie mają na rękach obrączki śrebrne lub inne, czyli bransoletki; na szyjach, także tetuowanych w girlandy, noszą różne paciorki ze szkła, monety lub łańcuszki, paznokcie farbują żółto lub czerwono, brwi także malują szeroko, czarno. Wszystko noszą na głowach, nie trzymając wcale rękoma. Często widziałem niosące ogromne dzbany wody lub oliwy, albo dzieci dwoje na ramionach i żywo idąc boso po niegodziwych ścieżkach skalnych, stromych albo wschodzistych. Bogatsze wieśniaczki i Beduinki jeżdżą na mułach i osłach albo wielbłądach, i dostarczają miastom żywności, zwłaszcza kur, jaj, oliwy, ryżu, jęczmienia, drzewa, oliwek, sérów, skór, baranów itp., same zaś mało kupują dla siebie. Tylko naczynia, kawę, tytuń i tanią odzież, a ich mężowie broń, amunicyą, narzędzia itp. koniecznie potrzebne rzeczy. Kobiety są tu w ogóle dość szanowane, jako drogi a najużyteczniejszy inwentarz roboczy, który tę jeszcze ma zaletę, że się sam stara o utrzymanie i męzkiéj płci wszystko zrobi w domu, w ogrodach, a poczęści i w polu. Widziałem w jednéj okolicy kobiety dwie ciągnące radło; one noszą drzewo i wodę o dwie i trzy godziny drogi; służą za posłańców i szpiegów Beduinom, jako bezpieczne od wszelkiéj napaści, choć samotne w pustyni, stare czy młode. Mężczyźni włóczą się zwykle po drogach, wynajmując swoje bydlęta juczne kupcom, pasą trzody, pielęgnują konie i wielbłądy, rólnictwem się także zajmują, zresztą w domu nie robią nic, tylko fajki palą i kawę piją po całych dniach. Takie jest w ogóle życie Beduinów i wieśniaków arabskich, wytrwałych zresztą na niedostatki wszelkie i zmiany powietrza bardzo nagłe. W dzień upał nieznośmy, w nocy zimno. Za słońca susza dusząca, nocą rosa wilży wszystko na wskroś; a oprócz tego pory roku bardzo odmienne. — Plemiona Beduinów koczujących żyją zawsze pod otwartem niebem, a sypiają w namiotach z tkanin ze sierci koziéj i wielbłądziéj zrobionych, trudnią się pasterstwem i o ile mogą łupieztwem, a żyją ze swoich trzód i sprzedaży wielbłądów, koni, mułów, séra, włosów kozich, wełny i najmu jucznych bydląt. Po miastach bardzo mało bywają, za to mają rodzaj faktorów, którzy im wszystkiego dostarczają i od nich wszystko kupują. Wolni, niepodlegli, płacą mały haracz paszom tureckim według dobrowolnéj ugody, a czasem też i nic nie dają. Religia ich mahometańska, lecz mało się objawia w życiu i obyczajach, bardzo różnych od obyczajów innych mieszkańców Palestyny. Ustawy mają własne, rząd patryarchalny, słuchają tylko swoich emirów

i szejków, podzieleni są na pokolenia. Prócz kowalstwa i prostego siodlarstwa nie trudnią się żadnemi rzemiosłami. Stan oświaty tych plemion jest podziśdzień ten sam, co przed wieki. — Rólnicy i pasterze arabscy, a szczególnie Beduini, przypominają mieszkańców Palestyny z czasów Abrahamowych. Takie też znajdują się u ludu tego zalety i wady, jak u narodów dzikich. Prostota i nadzwyczaj małe potrzeby obok chciwości na cudzą własność, upodobania w błyskotkach, w broni, wolności wszelkiéj i zemście. Gościnni a nieufni, cudzoziemców nienawidzący, nie zawodzą jednak prawie nigdy zaufania. Odwagę i siłę szanują bardzo, niemniéj wszelką zręczność fizyczną; świat Boży kochają jako prawe dzieci natury, on im jest jedyną księgą, którą czytają i rozumieją.

Mieszczanie arabscy w Palestynie zajmują się więcéj przemysłem, rzemiosłami i handlem, a ich kobiety pracują równie ciężko, jak i wieśniaczki, wyjmując bogatsze, służebnicami się wyręczające. Są w ogóle bardzo uzdolnieni umysłowo i zręczni, ale leniwi i zdemoralizowani wszczepianą im mozolnie oświatą europejską. Tak n. p. mieszkańcy Bethlehemu, lubo prawie sami chrześcianie, zachowują obyczaje pogańskie; przebiegli, chciwi niezmiernie na pieniądze, oszukują i zdzierają cudzoziemców, robią fałszywe monety zagraniczne, a tak mściwi, że jeden drugiemu np. drzewa ścina, bydło rzeza lub konie kaleczy. Słyną Bethlehemitanie na całą Palestynę jako najlepsi kamieniarze, budownicy i najładniéj rzeźbiący drzewo, kamienie, kość i t. p. Oni najwięcéj dostarczają krzyżyków, wyrobów z asfaltu, paciórków, medaljonów i t. p. pamiątek pobożnym pątnikom wszelkich wyznań. Bogatsi zbytkują w stroju, zwłaszcza kobiety prędko więdnące. Plemię to nikczemnieje bardzo dla zbyt wczesnego żenienia się i rozwiozłości nienaturalnéj, którą nawet na ulicach widzieć można. Klimat rozwija wprawdzie bardzo rychło ciało mieszkańców téj krainy, ale go nie czyni równocześnie dość silnem. Mężczyźni nie tak licznie żenią się jako chłopcy 14 do 16 letnie, ale między kobietami często się spotyka matki 9 do 12 lat mające, bo rodzice jak najrychléj pozbywają się przychowku, który im znaczny zysk pieniężny przynosi. W Bethlehem bowiem, jako i w wielu innych miastach, płaci się za dziewczę na żonę najmniéj 20 tal., a u zamożniejszych 50, 100 itd. Połowę téj sumy zatrzymują rodzice dla siebie, a drugą córce dają w posagu. Niechaj się panie nasze nie oburzają na ten zwyczaj nieucywilizowanego ludu, bo i u nas sprzedają się dość często damy, choć bez serca; czasem za czczy tytuł lub imie, które przodkowie wsławili, a potomki płaszcz sobie zeń zszywając, odziewają nim nędzną swoją istotę, wraz z nabytą za cenę onego wymarzonego okrycia. Arabowie tak niemądrze córek nie sprzedają, choć ich wychowanie prawie nic rodziców nie kosztuje, a wrogom i renegatom nigdy!

Religia Arabów jerozolimskich i bethlehemskich bardzo słabo oświeca te twarde serca i ciemne dusze. Z lada przyczyny ją zmieniają, a przyjmują najwięcéj dla zysków materyalnych. Po wsiach prawie wcale nie ma chrześcian.

W wigilią wyjazdu z Bethlehemu chodziłem przed zachodem słońca sam po blizkiéj okolicy i uzbierałem dużą wiązkę ziół dziko rosnących po skałach, parowach i ogrodach. Między temi były też i nas znane jak np. Lulka bieluń (Datura strammonium), oset, szalej (Hyosciamus n.), psianka (solanum dulcamara), dzika marchew, łopian kolczaty, pietrasznik czyli cykuta (conium maculatum), wilczy mlecz (euforbia) i inne, wcale mi nieznane. Powróciwszy do mego pokoiku, położyłem ową wiązkę na stoliku przy łóżku, aby niezapomnieć zabrania jéj na pamiątkę. Po zwykłem posiedzeniu u prokuratora klasztoru, Hiszpana, gdzieśmy codzień na opowiadaniach i rozmowach parę przepędzali godzin, rozeszliśmy się na spoczynek. Obudziłem się o wschodzie słońca zmęczony okropnemi snami i niby pół na jawie widzianemi marami. Odurzony byłem tak bardzo, że już otwarłszy oczy, jeszcze patrzyłem na jakieś straszydła; pokój zdawał mi się niezmiernie wielkim, a po ścianach widziałem wielkie, czarne, drżące koła. Zerwałem się z łoża, pobiegłem do oka, otworzyłem je, aby się przekonać, co to znaczy. Już myślałem o złéj febrze palestyńskiéj, gdy mnie naraz orzeźwiło świeże powietrze, ale głowa zdawała się wielką, jak beczka i nerwy tak rozdrażnione, iż całe ciało zdawało się zbolałem. Myśl mnie powiodła do złowrogich kwiatów i ziółek; zaciągnąwszy się ich wonią, ledwie nie zemdlałem. Wyrzuciłem je tedy z wielkim żalem za okno, a gdy w półgodziny potem weszli do mnie dwaj księża, jeszcze ich uderzyła woń nieznośnie odurzająca. Gdym im opowiedział przyczynę, dziwili się, że nie dłuższych i przykrzejszych doznałem skutków wyziewu owych trucizn w tym klimacie daleko jadowitszych, a mój biały towarzysz nie pozwalał mi potem żadnego ziela powonić, przypominając bethlehemskie doświadczenie.

Za mojéj bytności w Bethlehemie przyniósł jakiś Arab miejscowy dwie żelazne skrzyneczki ołowiem zalutowane do prokuratora klasztoru, pełne kości spruchniałych i prochu, znalezione na górze Modin, na któréj szczycie są ruiny grobów machabejskich braci. Mając tam ogrod, kopał w nim studnię i odkrył grób murowany i zasklepiony, a w nim dwie niże, w których stały te skrzyneczki. Domyślano się, że to mogą być szczątki proroków: Habakuka i Ezechiela, których dawno już kilkakrotnie na téj górze szukano, ale daremnie. Zostały te skrzyneczki własnością Franciszkanów, którzy poszukują starannie objaśnień owego grobowca.

Dla dopełnienia opisu Bethlehemu i jego okolicy, wspomnieć winienem o plagach, które i mnie się dały we znaki. Jest tu mnóstwo myszy, szczurów, jaszczurek i skorpionów, szczypawek różnego rodzaju, mrówek wielkich i małych, stonogów, pająków, długonogich karakanów; wreszcie much, komarów, pluskiew i innych zwierzątek krwią ludzką żyjących całe legiony. Wszystko to ciśnie się do mieszkań ludzkich, bardzo źle zamykanych, a niebardzo czystych i niepokoi we dnie i w nocy. — Cóż to dopiero być musi latem, kiedy się wszystko co żyje wyroi na słońce! Tu się wydaje prawdą, że ludzie stworzeni dla owadów i robactwa na pokarm. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

Magistri Vincentii, episcopi Cracoviensis Cronica Polonorum.

Cracoviae typis Wywiałkowski 1862, wydał Alexander Przeździecki. (Sprawozdanie z polecenia Tow. Przyj. N. Pozn. napisał Wład. Nehring).

Powitaliśmy z prawdziwem zadowolnieniem to nowe wydanie Kadłubka i winszujemy szanownemu wydawcy

zasługi, a pracownikom na polu historyi ojczystéj ułatwienia w studyach nowowydanego dzieła. Ktokolwiek używał dawnych wydań, lub chociaż przerzucał prace Lelewela, odnoszące się do tego zagadkowego autora, ten wie, z jakiemi trudnościami łamać się trzeba rozczytującemu się w texcie dotychczasowych wydań bez wielkiego zachodu lub bez wystarczającéj krytyki sporządzonych; przychodziło autorom odwołującym się do Kadłubka mimowolnie lub samowolnie prostować text, lub wedle potrzeby konjektury czynić. Niepodobną prawie jest rzeczą przedstawić dzieje narodu dokładnie bez poprzedniego wydania poprawnego wszystkich kronik i historyi, zwłaszcza po łacinie pisanych; niechby więc przykład szanownego wydawcy przyspieszył przedsięwzięcia pozaczynane i pobudził innych do naśladownictwa. W Niemczech od czasu ukazania się monumentalnego zbioru kronikarzy i dziejopisów, objętych kilkunasto-tomowem wydaniem Pertza: „Monumenta Germaniae historica," umiejętność historyi niemieckiéj szybko się wzniosła i zyskała wielką ilość nowych adeptów, przestała być kastową jakąś nauką przystępną tylko dla uprzywilejowanych uczonych. W historyografii naszéj pole zaległe; nieomal wszyscy kronikarze czekają na umiejętne i krytyczne wydania; co dotychczas w tym względzie uczyniono, zaledwo jest początkiem dzieła. Gallus opracowany przez Szlachtowskiego, a umieszczony w Pertza Monumentach, Orzechowski wydany przez Działyńskiego i świeżo przez Przeździeckiego wydany Kadłubek, otóż cały szereg dotychczasowych przedsięwzięć. Pozaczynane są Monumenta Poloniae historica i Długosza wspaniałe wydanie, dwie rzeczy, które od razu wielki niedostatek usuną. Z łacińskich wszakże historyków naszych dwóch jeszcze zasługuje szczególnie na powtórne poprawne wydanie: Kallimach i Heidenstein, którego text w jedynem Frankofurtskiem wydaniu (1672) jest do nieopisania fałszywy. Rozumiemy, że historyi polskiéj większą się wyświadcza przysługę dobrem wydaniem jednego z kronikarzy naszych z niedbałych tylko wydań nam znanych, aniżeli napisaniem historyi całéj lub monografii opartéj na dotychczasowych lichych edycyach. Wszakże do takich wydawniczych przedsięwzięć potrzeba i wiele czasu i nakładu poświęcić, które nie opłacą się szeroką sławą, jedno wdzięcznością niewielkiéj liczby pracujących. Tem większa zasługa podejmować tego rodzaju prace; bodajby nie zostały osamotnione. Te słów kilka z okazyi napisanych niechaj będą świadectwem uznania i wdzięczności dla wydawcy za wyświadczoną literaturze historycznéj przysługę, która tem większą ma wartość i większy budzi interes, że w niéj zawarte jest rozwikłanie dziwnych o autorstwie Kadłubka wątpliwości.

Kronika magistra Wincentego, Kadłubkiem zwyczajnie choć bez racyi przezwanego (obacz Lelewel: pisarze dziejów przed Długoszem w tomie I Polski wieków średnich str. 105) spisana jest w 4 księgach; pierwsze 3 księgi obejmują najdawniejsze bajeczne i pewniejsze dzieje Polski aż do śmierci Bolesława Kędzierzawego (r. 1173); czwarta zaś księga zawiera następne panowania aż do objęcia tronu krakowskiego przez Władysława Laskonogiego r. 1203; na tym roku kończy się cała kronika. Pierwsze trzy księgi mają formę dyalogu, czyli też, jak inni chcieli, szeregu listów pomiędzy dwoma dostojnikami: Mateuszem i Janem, od czasów znanego komentatora Kadłubkowego, Dombrowki identyfikowanymi z Mateuszem, biskupem krakowskim (um. 1165 lub 1166) i Janem, arcybiskupem gnieźnień. (um. 1165 lub 1167); w kodexie Kuropatnickiego wydanym w Warszawie w r. 1824 przez Kownackiego, jest nawet w jednem miejscu Jan nazwany wyraźnie arcybiskupem gniezn. przez Mateusza. Dwa te imiona, powtarzające się w 3ch pierwszych księgach Kadłubka, naprowadziły licznych przepisywaczów w 15 wieku (Kadłubek po szkołach był czytany) na domysł, jakoby owe pierwsze 3 księgi były kroniką Mateusza, bisk. krak., i Jana, arcybisk. gnieźnień., lub też Mateusza samego, i że Kadłubek tę Mateuszową do swojéj własnéj (objętéj 4 księgą) wcielił. Nie było więc zgody co do autorstwa kroniki, tak, że Jan Dombrowka, znany z 15 wieku uczony krakowski, kiedy się zabrał do komentarzy nad textem Kadłubka, w kłopocie się znalazł, komu 3 pierwsze księgi przypisać. Otóż w wydaniu pierwszem Dobromilskiem w r. 1612, podług Dombrowki ułożonem, tak we wstępie się rozpisuje. Str. 5: Titulus autem ponitur iste: „Chronica de gestis Principum Poloniae, quam lector sciat esse editam a Mathaeo quondam Cracoviensi Episcopo, in qua per modum dialogi in colloquendo cum Joanne, Archiepis. Gnes. tres libros ediderunt, quartum autem addidit Vincentius, Cracoviensis Episcopus." Na str. 9 zaś: „Secundum autem alios et videtur verius ponitur iste titulus: Chronica Vincentiana de gestis Illustrium Principum ac Regum Poloniae."…. „Secundum vero alios iste ponitur titulus: Chronica de gestis illustrium principum et regum Poloniae, per Joannem Gnesnensem archiepiscopum et Matheum Cracoviensem episcopum, per modum dialogi edita." Tego zdania Dombrowka też nie uchyla, bo mu się prawdopodobnem wydaje; w końcu zręcznie się z kłopotów wykręca: „De autore autem hujus operis non est pertinaciter disputandum… cum non quis, sed quid et quomodo dicatur, est propensius attendendum." Rozmaite więc napisy i tytuły miały kodexa z wieku XV; spór o autorstwo wytoczony został dopiero ogłoszeniem textu Kadłubkowego, wraz z komentarzami Jana Dombrowki w wydaniu Dobromilskim 1612 r. — O autorstwo Mateusza kruszyli kopije Hartknoch (de republ. Pol. I, 1), Józef Jabłonowski w muzeum polskim, Rzepnicki (w vitae praesulum p. 278), Jan Potocki w francuzkich swoich dziełach, Józef Załuski i Czacki (pamiętnik warszawski Nr. II, p. 186). Za Wincentym upomniał się pierwszy Dawid Braun (de scriptorum Pol. virtutibus atque vitiis) i dowodził, że cała kronika jest dziełem Kadłubka. Braun zgoła pojąć nie mógł, aby taki pasibrzuch, jakim był wedle Długosza Mateusz, kronikę obszerną mógł pisać. Za Braunem poszedł rzadki i śmiały biskup Prażmowski (wiadomość o najdawniejszych dziejopisach polskich — Warszawa 1811). Taki proces dostał się Lelewelowi do rozstrzygnienia. „Długośmy się sami, pisze w rozprawie o najdawniejszych dziejopisach przed Długoszem, ważyli między rozmaitemi zdaniami, nimeśmy nakoniec ośmielili się więcéj na stronę Mateusza skłonić." Z całym zapasem bystréj erudycyi uchylał wątpliwości, przenikliwe czynił kombinacye i wolał pójść za natchnieniem uprzedzonéj dumy narodowéj, aniżeli za łatwą do odgadnienia prawdą. — Lelewel twardym i daremnym bojem zdobywał Polsce kronikarza, ażeby go użyć za chlubny dowód przeciw obraźliwym zaczepkom Szlözera, szarpiącego historyografią polską (Lelewel Polska

dziejów średnich Tom I. str. 6). Lelewel opiera swoje krytyczne badania głównie na różnicy, jaką spostrzega w sposobie pisania w 3ch pierwszych i w ostatniéj 4téj księdze. Posłuchajmy jego dedukcyi. Dziwnie obrazowy, giętki i paraboliczny jest styl „Mateusza;“ częstokroć w natłoku ciemnych słów trudno myśl pochwycić. „Kadłubek (w 4 księdze) częściéj daleko po prostu powieść prowadzi, niż Mateusz, który rzadko kiedy, żeby się jakiem wyboczeniem, pytaniem lub podobnym dźwiękiem słów niebawił.“ Uważa daléj, „że niektóre miejsca w listach więcéj na złych obyczajów Mateusza przystoją, niż na pobożnego Wincentego.“ „W Mateuszu, powiada na innem miejscu, pełno jest zastósowań z dziejów obcych, quia gaudent similia similibus, co wprawdzie naśladował Kadłubek, mniéj okwicie jednak. W Mateuszu ustawiczne są wyciągi z Justina, a nawet i wyrażenia jego, co u Kadłubka ledwie we 3 rozdziałach się znajduje.“ Nie mniéj także uderzało Lelewela „jawne polubienie trzech ksiąg artis amandi Owidiusza, jakiego w księdze 4téj niedostrzegał, a co może być, powiada, jednym z dość silnych powodów do odmówienia tych ksiąg Wincentemu, ducha bogobojnego a skłonnemu do ustronienia od życia światowego.“ — Nie będziemy nużyli czytelnika powtarzaniem wszystkich upatrzonych różnic i odmian; na jeden tylko jeszcze argument skierujemy uwagę, na który Lelewel wielki położył przycisk. Na początku 4 księgi, a więc niewątpliwie przez Kadłubka pisanéj, czytamy pewien rodzaj wstępu, gdzie w dziwnie fantastycznym obrazie autor przedstawia się jako ten, „który universas convivii pensiones fidelissime compendio cautionis adnotavit, to jest, który dzieje całe narodowe spisał, i że praeses epulantium (wedle objaśnienia Dombrowki Kaźmierz II), zniewala go do pisania o wszystkich osobach tam będących: esto deinceps unicus ac singularis reipublicae rationalis. Zniewolony nareszcie ten vernaculus atramentarium gestans (Kadłubek), w trwodze ściągnienia na siebie nienawiści za sprawiedliwe osób wystawienie, kończy nareszcie: „sed longe aliud est messoris munus, aliud officium agricolae; nostri sudoris est (fuit), spicas licet sparsas, unam in messem colligere.“ — Otóż niejasne te słowa tłómaczy Lelewel w ten sposób: Kadłubek nie może stósować słów tych do swoich własnych (współczesnych) dziejów, bo zkądże powód do obawy o nienawiść, gdyby tylko cudze zgromadzał? Widoczna, że słowa te odnoszą się do dziejów, które fidelissime adnotavit, a to rozrzucone zbierając unam in messem. To jest wymawia się godowniczym, że pisząc o was, mogę się narazić, bo (sed) jeźlim dawniejsze sprawy królów pisał, wtedy byłem tylko zbieraczem.“ W ten sam sposób podchwytuje Lelewel słowa Kadłubka na wstępie pierwszéj księgi i tłómaczy je w sensie przywidzianym. Powiada autor w swoim dziwnie wygórowanym stylu „memini collocationis mutuae illustrium virorum...... disputabant Joannes et Matheus etc.“ — W przytoczonem słowie m e m i n i widzi Lelewel wskazówkę, że Kadłubek miał na myśli manuskrypta Mateusza i uzupełnia owo słowo m e m i n i wyrazami domyślnemi e s s e i n m a n u s c r i p t i s. Taki jest rezultat badań Lelewela nad Mateuszem herbu Cholewa. Na formę dyalogu w 3 pierwszych księgach widoczną nie położył Lelewel żadnego przycisku. Dziwne zrządzenie i powiązanie wydarzeń. Ten sam Mateusz, który przez długi czas był nieszczęsnem źródłem bajek o Krakusach, Leszkach, wojujących z Alexandrem i Cezarem, sam się zamienia na bajeczną postać z mglistych złożoną konjektur. — Po Lelewelu jeszcze raz krytyka historyczna przyznawała autorstwo 3ch ksiąg Kadłubkowych Mateuszowi. Augustyn Bielowski w „wstępie krytycznym do dziejów Polski“ (str. 97 i 98) potwierdza wyrok Lelewela co do rzeczonego autorstwa: przytacza list Mateusza, biskupa krakowskiego z r. 1130go (podług Bielowskiego mylnéj daty), wyjęte z archiwum watykańskiego na dowód, że tenże autoryzowany Mateusz był uczonym człowiekiem i że styl listu dziwnie przypada do ujęcia i stylu 3ch ksiąg kroniki Kadłubkowéj. — Tak jak Lelewel wierzył komentatorowi Kadłubka przy wydaniu Dobromilskiem, tak i Bielowski, wierny komentatorowi kodexu kórnickiego, który w tych samych słowach, które w wydaniu Dobromilskiem we wstępie czytamy, czytelnika zawiadamia, że p o m i ę d z y i n n e m i i ten tytuł dzieła napotykał: „Cronica... quam lector sciat editam esse a Matheo quondam episc. crac. in quo per modum dialogi . . . etc.“ Na tych słowach oparty jest główny dowód o autorstwie Mateusza, chociaż tenże sam komentator w rękopisie kórnickim, jeżeli się zgadza wedle zaręczenia Bielowskiego ze wstępem wydania Dobromilskiego, również wyraźnie wspomina, że były (za jego czasów) manuskrypta z tytułem C h r o n i c a V i n c e n t i a n a, z dodatkiem „v i d e t u r v e r i u s.“ W téj przedmowie komentatora jest więc źródło owych wszystkich niefortunnych kombinacyi o Mateuszu. — Upatrzył Bielowski inne jeszcze dowody czyli prawdopodobieństwa na rzecz Mateusza; nic go wprawdzie nie kłopoce, że Długosz biskupowi Mateuszowi nie przypisuje żadnéj kroniki. ale natomiast 2ch innych historyków wynagradza milczenie Długoszowe, Bogufał i Nakielski. Bogufał pisze, że o początku królów i książąt Polaków i ich czynach pisali: „precipue reverendus pater dominus Vincentius olim episc. Crac. ac c e t e r i p l u r i m i;“ podług Bielowskiego zaś ukryty jest w owych c e t e r i p l u r i m i także Mateusz. „To w y r a ź n e (?) świadectwo pisarza, który Długosza przeszło o dwa wieki wyprzedził, jest dostateczne, aby usunąć wszelki skrupuł, pochodzący z Długoszowego milczenia.“ — Że Bielowskiemu wystarcza taki dowód „wyraźny,“ z tego nie wypływa, aby był ktokolwiek zobowiązany uważać go za uzasadniony. Tego samego rodzaju jest dowód, powołany z Nakielskiego „Miechovia.“ Powiada Bielowski: „twierdzenie Nakielskiego, pisarza, który dużo użytkował z bogatéj w najrzadsze rękopisma biblioteki klasztoru miechowskiego, że Mateusz był to vir summe eruditus et qui auctor cronicae, quam cum nomine Vincentii evulgatam habemus, f u i s s e f e r t u r, - ma daleko silniejszą podstawę, niż wnioski robione ze słów Długoszowych.“ Więc Nakielski też tylko s ł y s z a ł o autorstwie Mateusza, za innymi powtarzał to, czego sam zaręczyć nie mógł. To przynajmniéj cień dowodu! — Znajdował jeszcze Bielowski w saméj kronice dowody na autorstwo Mateusza. W rękopiśmie kórnickim znajduje się miejsce odmienne od wszystkich znanych kodexów, z którego miejsca wywodził Bielowski, że Wincenty Kadłubek miał na p e r g a m i n i e s p i s a n y dyalog Mateuszów w ręku (rękopis kórnicki: „memini siquidem collocutionis mutuae virorum membranulis.“). Tego przecież dodatku o jakichś pergaminach nie mają ani późniejsze, ani wcześniejsze kodexy. Kilka miejsc z saméj kroniki, z których Bie-

lowski nawet czas spisania kroniki bliżéj oznacza, też z błędnych, a przynajmniéj z odmiennych od całéj reszty kodexów przytoczono.

(Dokonczenie nastąpi).

Rozmaite wiadomości.

Czas w „Panu Tadeuszu."

(Studjum).

Ścisłość chronologiczna w nauce dziejów została na czas niejakiś zwichniętą przez filozoficzne zacieki w dziedzinę historyi. Stósownie do potrzeby, cofali się filozofowie historyi sto lat w tył, lub pospieszali się o sto lat naprzód, by wyszukać odpowiedni swym twierdzeniom fakt dziejowy. Wnet jednakże spostrzeżono się, że takie postępowanie może tylko wprowadzić zamięszanie i nieład w naukę; ztąd zamieniono szukanie pomiędzy faktami dowodów na aprioristyczne twierdzenia — na wyciąganie wniosków a posteriori z przedstawionych chronologicznie faktów.

Podobna jak w historyi rewolucya i reakcya chronologiczna odbyła się w poezyi. Szczególnie spór o jedność czasu w dramacie długo rozdzielał i zajmował poetów i krytyków. Romantycy zrzucili jarzmo czasu, które nakładała szkoła francuzka przeszłego wieku. W dramatach romantycznych nieraz akt następujący przenosi słuchaczy w epokę o kilka lat późniejszą, co dla przeszło-wiecznéj szkoły francuzkiéj byłoby zbrodnią do nieprzebaczenia. Lecz i dla romantyków mimo rozległych wolności, które sobie zdobyli, są szranki, których przekraczać nie wolno. Może akt następny przenosić nas w pięć minut w czas o pięć lat późniejszy, mogą dla fantazyi ludzkiéj lata płynąć jak godziny lub minuty, ale nie można przedstawić skutku jakiegoś wypadku w pięć lat pierwéj, nim zaszła jego przyczyna. W najfantastyczniejszym poemacie czas w tył *) biedz nie może, jeżeli akcya naprzód się posuwa.

Mimo znaczniejszéj swobody ruchów, jaka epikowi w porównaniu z historykiem i dramatykiem jest dozwoloną, są pewne szranki i dla epika, poza które wyjść mu niewolno. W powieści poetycznéj, mającéj wiernie malować obyczaje północy, nie można opisywać żniw wśród zimy, ani też wśród ludności ściśle katolickiéj, chowającéj wiernie przykazania kościelne, opisywać balu w Wielki Piątek.

Studjum nasze ma na celu zbadanie, czy i o ile potrafił się utrzymać Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" co do czasu wśród szranek epikowi dozwolonych.

Rok, w którym wypadek będący przedmiotem epopei miał miejsce, jest dość wyraźnie oznaczonym. Księga bowiem XIsta nosi napis: Rok 1812, w którym działy się wypadki w niéj opowiedziane. Ztąd wszystko, co wedle powieści miało się dziać w roku poprzedzającym, czyli wypadki będące przedmiotem opowiadania pierwszych ksiąg dziesięciu, zaszły w roku 1811. Między wypadkami opowiedzianemi w pierwszych dziesięciu księgach, a wypadkami dwóch ksiąg ostatnich jest przerwa kilkomiesięczna.

Zdarzenia powieści z roku 1812 są daty ściśle oznaczonéj, gdyż na stronie 185 (wyd. zup. T. V) czytamy:

> Już wschodził uroczysty dzień Najświętszéj Panny
> Kwietniéj.

Odbyły się więc zaręczyny Tadeusza z Zosią w święto Zwiastowania Panny Maryi 1812, a wojska Napoleońskie przybyły do Soplicowa dnia poprzedniego pod wieczór.

> Późno było gdy weszli. (T. V, str. 182).

Nie tak dokładnie podaną jest data zdarzeń, tworzących główną treść powieści z roku 1811. Że był czas żniw żytnich, nikt wątpić nie będzie, kto przypomni sobie, że kiedy przybyły co dopiero z Wilna pan Tadeusz szli z Wojskim pod las drogą na spotkanie całego towarzystwa,

> . . . . sierpy gromadnie dzwoniące
> We zbożach ucichły, ...
> nawet wozy, w które już składać zaczęto
> Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły.
> (T. IV, str. 20).

Rozpoczyna się tedy opowiadanie prawdopodobnie w ostatnich dniach Lipca, albo pierwszych Sierpnia. Polowanie z chartami na upatrzonego, które się odbyło nazajutrz po przybyciu pana Tadeusza, możeby podało w wątpliwość u niejednego Wielkopolanina twierdzenie, jakoby rzeczywiście tak wcześnie działy się opowiadane w powieści zabawy i wypadki, ale

> Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
> Prawować o lisa . . .
> Na Litwie, chwała Bogu, stare obyczaje.
> . . . Zboża mamy dosyć, psy nas nieogłodzą,
> Że po jarzynach, albo po życie pochodzą.
> (T. IV, str. 94).

Jeżeli w przyszłości jaki niemiecki archeolog lub antykwaryusz będzie robił w „Panu Tadeuszu," który nietylko dla poety, ale i dla narodu trwalszym będzie pomnikiem, niż „Kościuszki grób" (T. I, str. 468), poszukiwania nad obyczajami i zwyczajami naszego narodu, będzie mógł z „Pana Tadeusza" czynić nawet wnioski nad zatrudnieniami i zabawami Polaków w pojedyńczych dniach tygodnia.

Jednę tylko wskazówkę znajdujemy w tym względzie w poemacie, ale najzupełniéj wystarczającą do ustalenia sobie całkowitéj chronologii „Pana Tadeusza." Na stronie 163 w tomie IV czytamy, że

> Po rannéj mszy z kaplicy, że była niedziela,
> Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela

chłopy, chłopki, tudzież szlachta drobna. Było to tego samego dnia, w którym się odbyło przedpołudniem polowanie na niedźwiedzia, w którym w świątyni dumania Telimenie

> Nie mógł swéj pomocy Tadeusz odmówić,

gdy

> Mrówki znęcone blaskiem bieluchnéj pończoszki
> Wbiegły, . . . (T. IV, str. 222).

w którym to dniu nareszcie odbyła się w zamku przy wieczerzy kłótnia i walka, przypominająca Lapitków z Kentaurami zapasy z Metamorphozów Owidyusza.

Ponieważ dzień ten był niedzielą, dzień poprzedni musiał być sobotą, a następny poniedziałkiem, z któréj to najlogiczniejszéj w świecie korzystając dedukcyi, zbudujemy sobie następującą chronologią „Pana Tadeusza."

Pod wieczór jednego z piątków w ostatnich dniach (26) Lipca, albo pierwszych (2) Sierpnia 1811 r. przybył do Soplicowa pan Tadeusz. Tego samego dnia jeszcze odbyła się wie-

---

*) Pan W. R. w krytyce poematu Salwater w Nrze 72 Czasu tak pisze:

Co się tyczy układu Salwatera, autor popełnił w nim błąd znakomity przez nienaturalny rozwój wypadków, które nie następują po sobie, ale się uprzedzają w akcyi. I tak: w pierwszym rozdziale Zofia zostaje matką, gdy w drugim dopiero następuje jéj uwiedzenie. W trzecim znowu Salwater potyka już i kupuje Irynę, w czwartym zaś dopiero opisane jego wychowanie, a w piątym miłość obojga.

czerza w sieni zamkowéj, przy któréj miał pan Sędzia mowę o grzeczności.

Dnia następnego, w sobotę, było polowanie z chartami na upatrzonego, po którem myśliwi wrócili do domu Sędziego na śniadanie. Pan Hrabia tymczasem zwiedził zamek, słuchał opowiadań Gerwazego i miał dziwne z pasterką spotkanie w ogrodzie warzywnym. Po śniadaniu poszło całe towarzystwo na grzybobranie, gdzie pani Telimena miała swe rozmowy z Sędzią, późniéj z Hrabią i panem Tadeuszem, któremu gdy czas było pójść na obiad, wsunęła w rękę kluczyk z białą kartką. Wśród obiadu doniesiono o zjawieniu się niedźwiedzia. Wieczór spłynął na przygotowaniach myśliwskich; co zaś wtedy robił pan Tadeusz, we wszystkich dawnych opuszczono wydaniach. Poeta wydając pana Tadeusza z jego sekretów, w nowém wydaniu paryzkiém powiada:

Dalsze jego kroki
Jesienna noc gęstemi osłoniła zmroki.

Zkąd naraz jesień, kiedy przez dzień cały było lato? — Opisując ranne śniadanie, powiada poeta:

Zaś dla mężczyzn leżą wędliny do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpie, skrzydełki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie,
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.
(T. IV, str. 87).

„Czy takie także w Sobotę?“ zapyta się przyszły niemiecki antykwaryusz; dowód najjaśniejszy, że Litwa postów nie znała, może nawet była protestancką. Jakie nieoszacowane odkrycie dla przyszłego protestanckiego archeologa!

Ranna msza w niedzielę za myśliwych, msza zwykła św. Huberta (T. IV, str. 146) rozproszy wnet zgorszonych archeologów wnioskowania. Co się daléj w niedzielę działo, jużeśmy wyżéj wymienili. Wielkich polowań nie urządzano zapewne na Litwie w niedzielę, ale tą razą uniewinnić można wykroczenie przeciw przepisom kościelnym, gdyż niedźwiedź

. . . w zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go wnet trzeba ścigać, wszyscy wraz uznali.
(T. IV, str. 145).

W poniedziałek po kłótni niedzielnéj pan Sędzia z rana wysyłał do Hrabi z pozwem woźnego, czemu nie mógł przeszkodzić Robak, który błagał o zgodę w imieniu ojczyzny. Hrabia tymczasem z Gerwazym robili przygotowania do zajazdu i przybywszy do Dobrzyna, szlachtę niemogącą się zgodzić w celach powstania powiedli wnet zbrojnie na Sędziego. W późny już wieczór w Soplicowie Robak wydaje swą tajemnicę bratu Sędziemu, a Tadeusz chcąc ujechać do Księstwa, by pojedynkować się z Hrabią, prosi przed wyjazdem Stryja o rękę Zosi. Przez zazdrosną Telimenę ścigany, biegnie Tadeusz aż nad brzegi łącznych stawów, gdzie spotyka Hrabiego pędzącego z orszakiem dżokejów ku dworowi Soplicy.

Działo się to w nocy z poniedziałku na wtorek. Dzień wtorkowy był dniem walki między stronnikami Sopliców a stronnikami Hrabiego, późniéj między szlachtą a Moskalami. Dzięki interwencyi Robaka, przechyla się zwycięztwo na stronę szlachty, lecz odświeżona rana powala na śmiertelne łoże księdza, który uzyskawszy w skutek swych zeznań przebaczenie klucznika i wyspowiadawszy się plebanowi, który przybył z Panem Bogiem, umarł w środę rano.

Właśnie już noc schodziła i przez niebo mleczne
Różowe biegą pierwsze promyki słoneczne . . .
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał, jako święty w ognistéj koronie. (T. V, s. 171).

Tu kończy się z księgą dziesiątą właściwie cała powieść. Co za olbrzymi geniusz, który w tak krótkie ramy czasu, bo w dni pięć, ująć zdołał tak olbrzymi obraz życia, obyczajów całego narodu, który na tak wązkiem płótnie chronologicznem przedstawił tak wyraźnie, tak dobitnie tyle scen żywych, tyle charakterów typowych. Akcya iliady potrzebuje jedenaście dni czasu do swego rozwoju.

Dwie księgi ostatnie mają głównie znaczenie epilogu. Dowiadujemy się w nim, że niewinność ś. p. Jacka Soplicy przez wszystką szlachtę uznaną została,

Że Jacek wierną służbą i cesarską łaską
Zniósł infamii plamę, powraca do czci.
(T. V, str. 191);

dowiadujemy się daléj, że Asesor żeni się z Teklą Hreczeszczanką, pani Telimena pójdzie za Rejenta, opuszczona przez Hrabiego i przez Tadeusza, który uzyskawszy rękę Zosi, pogodzi w ten sposób dwa nieprzyjaźne domy.

Na epilog dwie księgi może za wiele, opis serwisu w porównaniu z szybkim biegiem akcyi w księgach poprzednich nuży nieco,

. . . i Sędzia mówił, że to gości znudzi. (T. V, str. 227).

Ale powieść, któréj przedmiotem zrazu był tylko spór dwóch rodów szlacheckich, która ledwo i to tylko przypadkiem w księgach poprzednich wzniosła się do obrazu walki z nieprzyjacielem kraju, wznosi się w epilogu na stopień epopei narodowéj i historycznéj. Szczęk broni, który nas w pierwszéj księdze z daleka tylko dolatywał

Od puszcz Libijskich . . . i Alpów podniebnych (T. V, s. 54),

napełnia tu dawniéj spokojny i cichy litewski zakątek. Obok sprzymierzonych orłów francuzkich i polskich zabrzmiała losy ojczyzny opiewająca nuta żyda Jankiela, któremu z podzięką za grę narodową uścisnął rękę jenerał Dąbrowski,

On czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.
Poloneza czas zacząć. (T. V, str. 256).

„Ale czy też godziło się dnia owego iść w tany i huczne odprawiać biesiady?“ zapyta się znów nasz przyszły archeolog w szlafroku. „Nie byłżeto, według poety, dzień Zwiastowania Panny Maryi, dzień 25 Marca? Nie przypadaż ta uroczystość prawie zawsze w Wielki post, a w r. 1812, w którym była Wielkanoc 29 *) Marca, nie przypadała ona w samą wielką środę? — Czyż godzi się poecie w tak widoczną wchodzić sprzeczność z obyczajami narodu, które malować zamierzył?“

Panie archeologu, odpowiemy, fałszywe są wasze podejrzenia. Podczas gdy zapuszczając się w subtelne chronologiczne drobiazgi, silicie się, by wynaleźć słabą stronę poematu, wystawujecie tylko na cios własne słabizny. Poeta nie pomylił się nawet w tak drobiazgowéj rachubie, gdyż wiedział, że święto Zwiastowania skoro w wielki tydzień przypada, zwykł kościół katolicki przekładać na poniedziałek po niedzieli Przewodniéj; wtedy dozwolone są już wesołe pląsy i huczne biesiady. Nie 25 Marca więc, ale 6 Kwietnia 1812 przyjąć należy jako datę zaręczyn Tadeusza z Zosią, a dzień 5 Kwietnia jako datę przybycia przedniéj straży wojsk Napoleońskich do Soplicowa.

Poeta, jak widzimy, przedstawia w „Panu Tadeuszu“ nawet co do rozkładu czasu, wyjąwszy może drobnego zboczenia z owem sobotniem śniadaniem, jak najwierniéj obyczaje ówczesnéj Litwy. Zachowaną jest oprócz tego obok jedności akcyi najściślejsza jedność czasu, gdyż pozorne od niéj w 2ch ostatnich księgach zboczenie przestaje być zboczeniem dla tego, kto pojął, że dwie księgi ostatnie nie powieść już, ale tylko tworzą powieści epilog.

Fr. R.

*) Daty powyższe są oznaczone według kalendarza gregoriańskiego, na Litwie tymczasem obchodzono i obchodzą Wielkanoc podług kalendarza greckiego. Pisząc studjum powyższe, nie mogliśmy jednakże wystarać się o odnośne daty greckie. Dla tego zmuszeni jesteśmy zostawić szczegół ten tym, których przedmiot niniejszy po nas zajmować będzie.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego w Poznaniu.